№ 8.

Warszawa dnia $\frac{10}{22}$ Lutego Rok 1868.



w Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie w Kopertach* rs. 4 kop. 75. Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych. Redakcja w Warszawie przy Ulicy Żabiéj Nr. 956 u Jana Kantego Gregorowicza.

MACOCHA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Na święta Bożego Narodzenia zaprosili państwo Wszemborscy kilka osób, a pomiędzy temi byli profesorowie Godlińscy i Wajwrowicz.

W drugie święto z rana, panna Marcella przyrządzała strój swój, bo spodziewano się sąsiedztwa, gdy wbiegła Kazia.

— Gdzieżeś była tak długo?—zapytała guwernantka.

— U Cesi.

— Hm hm! Tak długo!... Będzie już czas na nabożeństwo.

— Jeszcze nie. Ale, jaka nowina!

— Cóż takiego?

— Powiedziała mi Cesia, że panna Lemieszówna jest po deklaracji z panem Wajwrowiczem.

— Ha ha ha ha! — zaśmiała się panna Marcella, lecz posiniała nagle — będzie to para dobrana: ona jest sobie trywialna, a jego inna, nie byłaby chciała. Kiedyż nastąpił ten akt matrymonialny?

— W wigilją oświadczył się pan Wajwrowicz pannie Lemieszównie...

— Dał jéj siebie na gwiazdkę, a ona swoją stolarczańską także ugwiaździła go ręką — zaśmiała się wesoło z własnego dowcipu.

— Wczoraj oświadczył się pani Siemianowskiéj.

— *Petronesie.*

— A dziś napisali do ojca panny Lemieszównéj.

— Do papy majstra stolarza, by co rychléj robił stoły i stołki, bo zapewne z ślubem pośpieszą.

— Przy objedzie wniesie tatko zdrowie narzeczonych.

— A kiedyż zamienili pierścionki?

— To dziś nastąpi dopiero, po nabożeństwie, bo proboszcz ma je poświęcić.

— Hm hm! Hm hm!... Feleczko!

Felicja z drugiego ukazała się pokoju.

— Posłuchaj wielkiéj nowiny: pan Wajwrowicz jest po deklaracji z panną Lemieszówną.

— Aa!—panienka zróżowiała znać ze względu na pannę Miłoszyńską.

— *Ce qui se ressemble, s'assemble!* — wyrzekła ta ostatnia, krzywiąc pogardliwie usta — dobrali się w korcu maku, jak ludowe niesie przysłowie.

— Czas na nabożeństwo — wymówiła Felicja, i zadzwoniła na służącą.

Pomiędzy gośćmi na dziś zaproszonymi, był i pan Józef Gorewicz.

Panna Marcella wpięła złoty grzebień we włosy i kosztowną brausoletkę włożyła. Gdy zeszła do salonu, uścisnęła serdecznie koleżankę swoją, życząc jéj szczęścia w zawodzie małżeńskim i ujęła obiedwie ręce pana Wajwrowicza, darząc go czułemi frazesami przyjaźni. A była wesołą i rozmowną bardzo.

Przy objedzie wniósł pan domu toast na pomyślność młodéj pary. I znowu panna Miłoszyńska była niemal pierwszą, która się z kieliszkiem w ręku a wdzięcznym na ustach uśmiechem podniosła,

Po obiedzie zagadła pana Gorewicza:

— Jakżeż się miewa przyjaciel pański, pan Lucjan Borzywojski?

— Bawi w Dreznie, pani.

— I zapewne wesoło. Pan miewasz od niego listy?

— Owszem, pani. Miałem już trzy.

— Czy nie ma jakich zamiarów matrymonialnych?

— Nie umiem pani odpowiedzieć na to.

— Umysłowość wyższa, a przytém i powierzchowność przemawia, więc podobać się winien.

— Zapewne, pani, zapewne. Wiem tylko, że o siostrę jego stara się młody obywatel z Wołynia.

— Niezawodnie wyższe zajmujący stanowisko, a przytém i majętny.

— Podobno, skoro w Dreznie konkurencyą prowadzi.

— Hm! — uśmiechnęła się—czasem bywa to, gdy kto resztkami już goni: uczyni ostatni wysiłek pogrzebanéj fortuny, by dobrą poratować się żeniaczką.

— Tutaj zapewne tak nie jest, bo pani Borzywojska ma wielką pod tym względem przenikliwość.

— Och nie wątpię, bynajmniéj, bynajmniéj! Wiem przecie, że to jest osoba wyższego rozsądku: mająca pogląd z podniosłego stanowiska na wszelką poziomość.

Pan Józef pokręcił wąsa i przygryzł usta, ażeby nie parsknąć śmiechem.

— Pani umiesz oceniać ludzi — wymówił, i wtedy nawet, gdy ich osobiście nie znasz.

— Przez intuicją. A mam wiele doświadczenia i znajomość świata westchnęła ze znaczeniem, pokiwując głową.

— Pan Wajwrowicz dziś szczęśliwy! Zaczął Gorewicz niby z półwestchnieniem.

— Bardzo! Życzę téj parze pomyślności wszelkiéj. Pan Wajwrowicz przez długie lata pracował i zasłużył sobie na szczęście rodzinne, domowe. Panna Karolina także..., biedna nauczycielka, niemal sieroco w świat rzucona, z widokiem wysługiwania się wymaganiom różnym, kaprysom, grymasom i niedorzecznéj nieraz dumie przez życie całe, mając nadto pewne wyższe poczucie godności własnéj. To jest gorzkie upokorzenie, bolesne i krwawe.

Pan Józef uznał w uczuciu sprawiedliwości swojéj, że tak bywa, i że nauczycielki domowe często do wielce nieszczęśliwych należą istot. A panna Miłoszyńska dodała ciszéj, niby ze smętną tkliwością.

— Więc można pannę Karolinę nazwać szczęśliwą, że się z jarzma zależności, służebniczéj niewoli, kaprysów i niedorzecznego pyszalstwa wyprzęża.

— W domu jednakże pani Siemianowskiej, panna Lemieszowna nic bynajmniéj nie doznała przykrego.

— Och nie! Uchowaj Boże! Pani Siemianowska jest wprawdzie arystokratką, ale arystokratką szlachetną i szanowną, prócz może.... niektórych maluczkich przywarków; uśmiechnęła się. Dla panny Karoliny, jakkolwiek córki stolarza, była zawsze względną bardzo, życzliwą i przyjazną.

— A panna Cecylja przywiązała się do niej.

— To jest dziecko milutkie, ale dziecko jeszcze.

— Ma już lat szesnaście!

— Jeszcze nie! —panna Marcella poczerwieniała nagle i spochmurzała, ale i zaraz dodała z uśmiechem: milusia, dobra, ładna... i całkiem dziecinna.

W téj chwili zagrała profesorowa Godlińska na fortepianie jakąś ładną poleczkę. Pan Józef się podniósł i począł rękawiczki wciągać.

— Potrzeba ruszyć się trochę i młodszych zachęcić— wymówił, powstał obejrzał się po salonie, przystąpił do Cesi i w lekkim uprowadził ją polocie.

Panna Marcella aż niby pożółkła.

Ochoczy taniec resztę wieczoru zapełnił.

— Jedne już udały się swaty, a może udadzą się także i drugie — wyrzekła guwernantka, siadając na dobra noc przy łóżku Felicji.

— A któż swatał pana Wajwrowicza? — zapytała młoda dziewczyna.

— Jużciż nie kto inny tylko pani Wszemborska.

— A!... On sam wyswatał się pewnie.

— Bynajmniéj! To jest lękliwa natura męzka: jego potrzeba było prowadzić, popychać.

— A jakież to drugie są swaty?

— Torowanie drogi do małżeństwa pannie Cecylii.

— Jakto?

— Usidlenie pana Gorewicza.

— Słyszałam jak chwalił Cesię.

Panna Miłoszyńska roześmiała się.

— To nie jest żona dla niego!.. Jemu potrzeba innéj kobiety, z wyższem myśleniem i energią czynu... Ale być może, że go złowią. Był tam zakrój na pana Lucjana.

Felicja pobladła.

— Ale gdy nie poszedł na wędkę, pomyślano o panu Gorewiczu.

Felicja milczała.

— Nadmienił mi pan Gorewicz... ale dopytywać się nie chciałam, o jakichsić zamiarach ożenienia pana Lucjana w Dreznie.

Biedne dziewczę pobladło znowu.

— Na te plany wpływa wasza pani macocha, i ztąd te częste listy do Drezna i z Drezna. Ale mam nadzieję i wiarę w pierwsze, młodzieńcze silne uczucie pana Lucjana; on oprze się stale i heroicznie uraganowi intryg, i wytrwa— ujęła w ramiona swoje znękane dziewczątko i przycisnęła ją do siebie.

Felicja zapłakała, kryjąc się w jéj objęciu.

— On wytrwa, bo jest wyższym sercowo i duchem: młody, rycerski, podniosły, z uczuciem, spotęgowanéj miłości. Obcy wszelkim spekulacjom obrzydłym, materjalizmowi wstrętnemu! Wytrwa w obec machinacji bezecnych! Wytrwa, gdyby i zrzec się przyszło korony!... Ufaj i zawierzaj!

— Och, wierzę!—poszepnęło dziewczę.

— Feleczko, a gdyby... gdybyś najboleśniejszego, ohydnego miała doznać zawodu, i została na wskróś zraniona w najczystszych uczuciach swoich, złotéj wiary i miłośc świętéj!.. Wtedy już nigdy nie pokochasz innego!

— Nigdy! nigdy!— wyjękła biedaczka, załamując ręce

— Rzuciłabyś anatema na cały ród męzki!.. Żyłybyśmy tylko jedna dla drugiéj, jakoby dwie siostry ślubne, bo w mojem objęciu posiadasz całe spotęgowane przywiązanie siostry, przyjaciółki i matki!

Felicja z płaczem przytuliła się do niéj.

— We mnie i przy mnie znajdziesz zawsze pociechę, bo ja potrafię umilić tobie życie. Uroki natury, nauka, sztuki piękne, poezja, zapełnią dni nasze i będziemy szczęśliwe. *Pereat* wszystkim niecnym przeniewiercom!.. Ale, unoszę się za daleko, przesądzam! Lucjan wytrwa, pozostanie wiernym, i intrygom!.. Serce moje, bijące tylko dla ciebie, drży o szczęście twoje i trwożne czyni domysły. On wytrwa, pozostanie ci stałym!.. Bądź spokojna i ufaj!

Ale, pomimo tych wyrazów, uścisków i pieszczot —pomimo młodéj wiary, czystéj i świętéj w sercu dziewiczem, Flicja jednakże noc niespokojnie spędziła, a nazajutrz była blada i zmieniona.

Państwo Wszemborscy zaniepokoili się bardzo, ale odpowiadała im uśmiechem i zapewnieniem, że jéj nic nie jest.

— Taniec wczorajszy znużył ją pewno— wyrzekła panna Miłoszyńska.

— Wszakżeż nie tańczyła tak wiele—zauważyła macocha z troskliwie badawczem na pasierbicę spojrzeniem.

— Bardzo jest delikatna, wiotka i winna na teraz wszelkich wystrzegać się niewywczasów.

Wreszcie uwierzyli wszyscy, że taniec zaszkodził panience.

Karnawał nastręczył bal składkowy i kilka wieczorów z tańcami. Felicja radaby była usunęła się od tych wszystkich zabaw, ale nie podołała. Bo i ojciec utrzymywał, że młode dziewczęta potrzebują rozrywki, inaczéj skwaśnieją przed czasem.

Na jednym z pierwszych wieczorów, gdy śliczniutka ukazała się wśród grona rówiennic, i ogólną uwagę młodzieży na siebie zwróciła, — poszepnęła panna Miłoszyńska, pod zaklęciem najściślejszéj tajemnicy, pani Przyłomskiéj: że serce panny Felicji jest już zajęte, i że ona jest już, jakoby po słowie. Nie wyszło też dwudziestuczterech godzin, a sąsiedztwo całe wiedziało o tem, i cała młodzież okoliczna była w posiadaniu owéj najściślejszéj tajemnicy.

Pan Gorewicz uśmiechnął się i ramionami ruszył, gdy ktoś o tém do niego mówił, lecz milczał na wszystko, mając młodego przyjaciela na myśli.

Nikt jednak nie wiedział, że tę gadankę panna Miłoszyńska w obieg puściła.

W tym czasie napisała także do siostry.

,,Donosiłam ci w krótkości, z rozweselonym umysłem, o czułéj parze: moim niegdyś adoratorze i sławetnéj pannie Lemieszownie. Jestem po nad wyraz zadowolona, żem nie potrzebowała obdarzyć go harbuzem. Żalby mi było poczciwca. A nie była to partya dla mnie, pod żadnym warunkiem.

Maryaż ten, oczewiście, pani Wszemborska zrobiła, może myślała, że mnie na przekór. O małości! A raczéj bom się za nadto pobłażliwie wyraziła, o nikczemno kabała kobieca!... z któréj ja śmieję się wesoło.

Obecnie już znowu inna kluje się intryga. Wiesz jak wielkie względy okazywał mi pan Józef Gorewicz—czyni to i dzisiaj jeszcze. Ale... ciągną go gwałtem do Cecylji, Czy pojmujesz? — Uznały te panie, że dobrą dla niéj jest partyą—zwłaszcza téż, gdy młody Borzywojski nie dał się złowić.

A cóż na to Gorewicz? — zapytasz. Ha!.. Ułomności ludzka, wyobrażeniem twojem jest mężczyzna! Dziewczę ma lat szesnaście, maseczka ładna, kokietka, głaszczą go nęcą, pociągają, jakby magnesem, pochlebiają mu, wie i widzi dobrze, że papierowych, starając się, nie zedrze butów. A ja usunęłam się i walne zostawiłam im pole. Wyższość moja wrodzona i wyrozumowana procesem myśli podniosłych, i uczuć szlachetnéj dumy niewieściéj, wstrętnem mi czynią każde takie współubieganie się o..... serce mężczyzny! — Winien je raczéj sam u stóp złożyć moich, nie zaś, bym ja po nie sięgać miała. Tak ja rozumiem namaszczone stanowisko kobiety w obec mężczyzny. Pozostanę panną, dziewicą wolną sercem i rozumem, umysłem i duchem, miłującą, w miejsce tylko jednego, ogół cały, uczuciem wielkiem chrześciańskiéj miłości, na ludzkości ołtarzu!

A cóż Felicja? zapytasz znowu. I ona jest zawikłana w sieci pajęcze niecnych intryg macoszych. Swatają Lucjana w Dreźnie... jak się domyślam z kilku wyrazów w liście matki jego rzutem oka pochwyconych. Macocha bruździ wszędzie. Bo i gdzieżby ona swoim nie sięgnęła machiawelizmem? Jeżeli młodzian upadnie tak nisko, że się kabałą i spekulacją pieniężną moralnie zgubić dozwoli, Felicja już nie pokocha innego i ręki swojéj nikomu, nie odda. Pozostanie się tak, jak i ja, kapłanką szczytnych poświęceń, jako dziewica, ofiarnéj dla ogółu miłości.

Jednego tylko Lucjana dla niéj wybrałam, gdy ten chybi, za innego nie pójdzie.

Zamieszkamy gdzie zdala od Ziemina. Otoczę ją moją pieczołowitością by ją rozerwać, pocieszać. poświęcę się dla niéj.

Mówiła mi pani Przyłomska, że panicz, młody Ferdynand Domirski, ma zamiar starania się o Felicją. Ukazał się na wieczorku u państwa Żarlińskich. Podobał się panu Wszemborskiemu, lecz dla mnie był tak zimno grzeczny, że aż impertynencją trąciło, nastrojony zapewne intrygami pani macochy. Inaczéj sobie tego wyrozumować nie umiem. Ma być wykształcony, podróżował wiele jest majętny i przystojny. Ależ to nie małżonek dla mojéj Felci. Bo ja nie pozwolę. Dotąd nie był tu jeszcze.

Bywaj mi szczęśliwa!

Marcella.

Ślub pana Wajwrowicza i panny Karoliny Lemieszownéj nastąpił zaraz po wielkiéj nocy. Odbył się skromnie w Podlesiu, a świadkami jego byli: rodzina państwa Wszemborskich, profesor Godliński, ojciec panny młodéj z niedorosłym jéj bratem i państwo Dalewscy.

Panna Miłoszyńska wymówiła się bólem gardła.

W połowie kwietnia odebrała Zofja także wiadomość z Drezna, o ślubie panny Idy Borzywojskiéj z panem Adamem Wedlem z Wołynia.

X.

— Cóż jest Felci? Co z tem dzieje się dziewczęciem? Blada, smutna. Musi być niezdrową—mawiał nieraz pan Wszemborski do żony.

— I ja to uważam i boleję nad tem. Zapytywałam ją nieraz, lecz odpowiada zawsze, że nic jéj nie jest, że się czuje zdrową zupełnie.

— Potrzeba jéj rozrywki.

— W czasie karnawału musiał ją namawiać, zachęcać, inaczéj nie byłaby pojechała nigdzie.

— Nie rozumiem co się stało temu dziewczęciu.

Pani Wszemborska stłumiła westchnienie, przeczuwała co jéj było i tajemnica ta ciężyła jéj sercu.

— Wiosna, dni piękne, niechaj codziennéj używa przechadzki albo przejażdżki.

— Będę z niemi wychodziła i wyjeżdżała jak najchętniéj... Ale, pomów o tem i z panną Miłoszyńską.

Pan Wszemborski pomówił i parę koni oddał na rozkazy żony. Przejażdżki i czyste wiosenne powietrze zróżowiły lica młodéj dziewczyny ale pozostała smutną, lubo że się do uśmiechu siliła.

Dnia jednego, pan Wszemborski coś tam nadmienił, że mu wizyta pana Ferdynanda Domirskiego zapowiedzianą została, a dnia drugiego dostrzegła panna Miłoszyńska w torbie pocztowéj adres na liście do pani Wszemborskiéj ręką Lucjana pisany, ze znakiem pocztowym miasteczka, pod którem Radlin leżał. I jedno i drugie dało jéj do rozwagi wiele.

O mil parę od Radlina był zakład wodno-leczący, w nader pięknie położonéj włości Złotobrzeg i panna Miłoszyńska skwapliwie téj uczepiła się okoliczności. Potrzeba było uniknąć zbliżenia się młodego Domirskiego do Felicji, bo mógł się podobać, ile że Lucjan nie pokazywał się wcale: serce młodego dziewczęcia łatwo inaczéj przemówić mogło. A panna Miłoszyńska postanowiła: że jeżeli Felicja ma pójść za mąż, to jedynie li za Lucjana, którymby ona według upodobania i własnych widoków dowolnie kierować mogła. Wzmianka każda o Domirskim dreszcz jéj sprawiała. Należało zatem działać bez straty czasu.

Pan Wszemborski przechadzał się wśród kwietnych klombów ogrodu, lecz był zamyślony i ani zważał na wdzięczne w koło dzieci wiosny. Z bocznéj ulicy nadeszła panna Miłoszyńska.

— Jakiż maj przecudny w tym roku—zaczęła rozmowę.

— Bardzo piękny.

— Wie pan, jaką jabym co do Felci uczyniła propozycją? Sądzę, że mój planik najzbawienniejby wpłynął.

— Cóż takiego?

— Otóż gdybym z panienkami na parę tygodni do Złotobrzegu pojechała! Przejażdżka, zmiana miejsca, kąpiele, powietrze po nad rzeką, rozrywki inne, wszystko, jestem święcie przekonana, wpłynęłyby nader szczęśliwie na to jéj apatyczne usposobienie.

— Czy pani o tem żonie mojej już wspomniałaś?

— Nie jeszcze. Noszę się z tym pomysłem od tygodnia, rozważam go, rozbieram, zastanawiam się... Panie! złożyła dłonie — to będzie ratunkiem naszéj Felci kochanéj.

Pan Wszemborski się zamyślił.

— Zmiana okolicy, a Złotobrzeg leży rozkosznie. Przechadzki ponad rzeką, albo w lesie sosnowym, w którym i wiele jest jodeł.

— Czy pani byłaś kiedy w Złotobrzegu?

— Nie—panna Miłoszyńska poczerwieniała z lekka — lecz tyle o nim słyszałam. Kuzynka moja była tam jednego lata i miałam kilka od niéj listów. Wzmacniające kąpiele, orzeźwiające, jako i zmiana miejsca, wywrze wpływ pomyślny na młode dziewczątko i w krótkim pokrzepi ją czasie. Na taką apatyą potrzeba działać koniecznie, moralnie i fizycznie, i to co rychléj.

— Myślę że żona moja od razu na ten przystanie projekt. Ale wypadnie wyjazd odwlec na pare tygodni. Pani wiesz, że matka przyjeżdża, i że mamy z nią do Warszawy pojechać.

— To i cóż to przeszkadza? — panna Miłoszyńska zapłonęła.

— Nie mogłaby się więc teraz do Złotobrzega wybrać.

Panna Marcella niecierpliwie zacisnęła dłonie.

— Zapewne... tak oczewiście... wymówiła, panując nad sobą.—To też sama pojechałabym z panienkami.

— Sama?

— Dla czegóżby nie?—uśmiechnęła się guwernantka— nie mam przecie lat szesnastu!... Pani Wszemborska przyjechałaby późniéj i powrócilibyśmy następnie razem. Rachuj pan, że to miesiąc maj, a tak piękny, uroczy, że im rychléj Felcia jakiejbądź odda się kuracji, tém lepiéj będzie. Nie traćmy czasu! — dodała z wyrazem błagalnym. Mówiłam już przedwczoraj z doktorem, i jak najzupełniéj zdanie moje podziela. Ta apatya w młodem dziewczęciu może w niebezpieczną wyrodzić się chorobę.

— Nie nic o tém nie mówił.

— Opowiedziałam mu wszystko i mówiliśmy obszernie.

— Dziś jeszcze każę go przywieźć dla stanowczéj narady.

— Tak, tak, dzisiaj. Nie zwlekajmy!... Pani Wszemborska przyjmie matkę, pojedzie z nią do Warszawy, a my sobie pojedziemy do Złotobrzegu. Zobaczysz, panie, jak Felcia przyjdzie do siebie. Nie traćmy czasu! Za dni parę moglibyśmy wyjechać.

Pan Wszemborski pomyślał znowu.

— Już sama podróż w téj porze nowego doda jéj życia... Ileż ztąd mil do Złotobrzega?

— Najmniéj dwanaście.

— Możemy pewnie jednym dniem stanąć.

— Och nie, utrudziłoby to za nadto Felcię.

— To i gdzież wypadnie nocować?

— W Biało krzyżu.

(d. c. n.)

DYPLOMATA

KOMEDJA W DWÓCH AKTACH

PRZEZ

Eugeniusza Scribe i Delavigne.

OSOBY.

Wielki Książę.
Książę Rudolf, jego synowiec.
Margrabina de Surville.
Hrabia Moreno, poseł hiszpański.
Izabella, jego córka.
Baron Saldorf, poseł saski.
Chavigni, poseł francuzki.
Rinfeld, sekretarz księcia Rudolfa.
Herman, służący pani de Surville

Rzecz dzieje się w jednem z księztw Niemieckich.

AKT I.

Scena przedstawia wiejskie mięszkanie Margrabiny de Surville. Pałacyk w ogrodzie.— Salon wykwintny. — Po prawéj i lewéj stronie drzwi, do dalszych apartamentów.—W głębi wyjście do ogrodu.

Scena I.

Książe Rudolf i Margrabina, wchodzą do salonu, od prawéj strony.

Margrabina. Odjeżdżaj mój drogi, już od dawna dzień się zrobił.

Rudolf. Jeszcze chwilkę; zawsze tak rano mnie wyprawiasz i zawsze pierwsza się żegnasz.

Margrabina. Ah! nie rób mi wymówek. I tak mi już trudno zdobyć się na odwagę.

Rudolf, Kochana Elizo!..

Margrabina. Zaklinam cię wychodź. Będą o ciebie niespokojni w Zamku. Zresztą, gdyby kto waszą książęcą mość spotkał o téj godzinie...

Rudolf. Bądź spokojna; nikt nie zgadnie, że idę od mojéj żony.

Margrabina. Oby nikt się nie domyślał, że jesteśmy połączeni węzłem ślubnym; niechaj to pozostanie w ukryciu jak najdłużéj, inaczéj, przewidzieć nie można, co nas czeka. Wielki Książe, nie zechce słyszeć o niestosownem ożenieniu się swego synowca. Wątpię, żeby go zmiekczyło zapewnienie, żeśmy się pobrali wówczas jeszcze, gdy jego syn był przy życiu, gdy nie mogłeś spodziewać się, że będziesz następcą tronu. Nasze małżeństwo rozwiążą...

Rudolf. Nie obawiaj się. Jeżeli pragnę blasku, jaki mnie czeka, to tylko dla tego, żeby on był twoim udziałem. Nic nas nie rozłączy.

Margrabina. W tym czasie, rzeczywiście nadzieja wstąpiła w moje serce.

Rudolf. Czy może być! powiedz mi...

Margrabina. Innym razem, bo teraz musisz wrócić do Zamku.

Rudolf. Ale tam mnie nie czekają. Wielki książe poluje dzisiejszego ranka, w tej właśnie okolicy. Umówiłem się, że z niemi złączę się na polowaniu, Więc mam jeszcze czas. Zresztą, muszę się z tobą rozmówić o naszych interesach, po to głównie przybyłem.

Margrabina. I dopiero myślisz o tém wtenczas, kiedy trzeba wyjeżdżać!

Rudolf. Czyż to moja wina. Ale proszę cię, mówże prędko.

Margrabina. Taka jest rzecz. Gdyś przed kilku laty był we Francji...

Rudolf. I zakochałem się w tobie...

Margrabina. Jak wiesz, byłam damą honorową, najlepszéj i najmilszéj z księżniczek. Znasz ją, nie mam więc potrzeby, rozwodzić się nad jéj pochwałami. Otóż mój drogi, jéj jednéj powierzyłam tajemnicę naszego małżeństwa. Późniéj, ciągle z nią korespondując, zawiadamiałam ją o wszystkich okolicznościach nas dotyczących; mianowicie o moich zmartwieniach, z powodu niepewnéj przyszłości. Wyobraź sobie, że ta pani, w któréj całą ufność położyłam, bynajmniéj mnie nie zawiodła.

Rudolf. Cóż uczynić mogła?

Margrabina. Ostatni jéj list, był takiéj treści: że w krótkim czasie przybędzie od dworu francuzkiego, człowiek bardzo zręczny, który nie mając żadnéj officjalnéj missji, będzie miał w sekrecie poruczone staranie, przygotować Wielkiego Księcia, do wiadomości o naszém małżeństwie, i wyjednać jego wysokie zezwolenie.

Rudolf. Ach! co za szczęście... Nie uwierzysz w jak dobry czas, przychodzi tak znakomite poparcie. Już nie wiedziałem co począć... w ogromnym jestem kłopocie...

Margrabina. W jakimże to? Nic mi nie mówisz. Nie jestem ani podejrzliwą, ani zazdrośną, lecz w naszém położeniu, najmniejsza rzecz mnie niepokoi. Widziałam wczoraj, jak skrywałeś przedemną jakiś portret...

Rudolf. Dostrzegłaś go?... Nie śmiałem ci o tém mówić. Ten portret, to jeszcze nic... wystaw sobie... jest ich dwa.

Margrabina. Czy być może?

Rudolf. Cicho... ktoś nadchodzi.

Margrabina. Nie bój się, to jeden z naszych ludzi, któremu możemy zaufać.

Scena II.

Poprzedzający.— Herman.

Herman. List do jaśnie wielmożnéj pani, na odpowiedź czekają.

Rudolf. Cóż to takiego?

Margrabina (list mu dając) Przeczytaj, zobaczymy...

Rudolf (czyta). „Dawny przyjaciel, przybywający z Francji, ma honor prosić pani Margrabiny, aby go przyjąć raczyła. Chciałby jéj udzielić wiadomości o Paryżu, i o przychylnych osobach.

Kawaler de Chavigni.“

Margrabina. De Chavigni!.. Należy do dworu księżnéj ona pewnie go przysela, jego to oczekujemy! (Do Hermana) Proś, niechaj ten pan przychodzi jak najprędzéj.

Rudolf. Ale może lepiéj, żeby poszedł do Zamku, chciałbym przedewszystkiem, pomówić z nim w przedmiocie o którym nie wiesz.

Margrabina. Do Zamku! To być nie może! Przecież najprzód musi się z nami porozumieć, nim się zobaczy z w. księciem. Każdy twój krok śledzą, nigdy nie zdołasz być z nim sam na sam.

Rudolf. Masz słuszność, muszę wymyśleć jaki inny sposób. Tymczasem bądź zdrowa, do widzenia.

Margrabina. Jakto odchodzisz, pozostawiając mię w niespokojności co do tych portretów? Daj mi ich...

Rudolf. Teraz nie mogę, ale dzisiaj jeszcze będziesz je miała.

Margrabina. Pamiętaj o tém. No idź już, idź. Hermanie, wyjdź za księciem; czuwaj, żeby nie spotkał żadnéj przeszkody.

Herman. Książe, będzie musiał wyjść tędy, przez ogród bo w tamtych pokojach są goście.

Margrabina. Co, tak rano? Kto tam jest?

Herman. Człowiek już w pewnym wieku, i jego córka... Hrabia Moreno.

Rudolf. Poseł hiszpański.

Margrabina. Kiedy przybył?

Rudolf. Wczoraj wieczorem. Czy go znasz?

Margrabina. Był u mnie parę razy w Paryżu. Strzeż się, żeby cię tu nie zobaczył... Jest przebiegły i domyślny, odgadłby natychmiast naszą tajemnicę.

Rudolf. Bądź spokojna. Hermanie, proś go tutaj, ja tymczasem park przejdę. Żegnam cię Elizo.

Margrabina. Do najprędszego widzenia.

(Rudolf wychodzi do ogrodu).

Scena III.

Margrabina, hr. Moreno, Izabella, Herman.

Herman. (meldując) Hrabia Moreno i donna Izabella.

Wychodzi. Hrabia z córką wchodzą z lewéj strony.

Margrabina. Jaka miła niespodzianka! Co hrabiego sprowadza w nasze strony?

Hrabia. Podróżuję dla przyjemności, zabrałem z sobą córkę która jeszcze Niemiec nie zna. Przy téj sposobności mam zaszczyt przedstawić ją pani. Pragnąłem, najprzód być w domu Margrabiny i zaraz do niéj pospieszam, wysiadłszy z powozu, tylko cośmy przyjechali.

Izabella. To jest mój ojcze, przybyliśmy wczoraj.

Hrabia. Wczoraj późno w nocy, to jakby dzisiaj. Czuję już, że ta podróż dobrze mi zrobiła.

Izabella. Ale nie, mój ojcze, Byłeś ciągle niespokojny, co chwila się wywiadywałeś, czyli baron Saldorf, poseł Saski, nas nie wyprzedził. Ciekawa rzecz, co na tém zależy, żeby przybyć godzinę wcześniéj.

Hrabia. Izabello!

Izabella. (z obawą) Mój Boże, czy ja co niewłaściwie powiedziałam? Gniewasz się ojcze?

Hrabia. Ja? Bynajmniéj.

Izabella. Przebacz mi, proszę cię, już nic nie będę mówiła o téj podróży. Dzięki Bogu przybyliśmy, teraz o tém tylko myślę, żeby się dobrze zabawić.

Margrabina. Nie obiecuj sobie wiele, donna Izabello; w naszéj stolicy nie bardzo jest wesoło. Jesteśmy za nadto poważni. Festynów żadnych nie bywa.

Izabella. Teraz będą, zapewniam panią. Ojciec kazał mi zabrać suknie balowe, a pani wiesz co to znaczy; ja przynajmniéj zaraz się domyśliłam. Témbardziéj, że mi kazał zrobić suknię dworską, z ogromnym ogonem, taką jak damy dworu miały, w dzień zaślubin naszéj królowéj.

Hrabia. Izabello!

Izabella. (z trwogą) O mój Boże, czy znowu coś niestosownego powiedziałam? Ojcze nie gniewaj się. Nie będę już mówiła o sukniach, — ani o balach, ani o podróżach.

(d. c. n)

Pogadanka tygodniowa.

Kilka dni temu nadesłano mi z pod Konina następującą korrespondencją.

„Czwartego Stycznia b. r. otrzymałam pakiet z pismami perjodycznemi, z końca zeszłego roku i ukończywszy domową poezją życia kobiecego a przez wielu zwaną nudną i przykrą prozę gospodarstwa, wzięłam się do czytania. W Tygodniku Mód, najprzód wyszukałam Pogadankę, ale z jakiemże oburzeniem znalazłam w niéj wiadomość, że jakaś pani z Czytalskich Bywalska czy z Bywalskich Czytalska, śmie nachodzić naszego Janka, przezywać go Pawełkiem, Tygodnik Mód magazynem, Pogadankę sprawozdaniem i występować w obronie próżniactwa, nie żałując połajań za jego poczciwe rady i namowy do pracy."

Prawda że młodość ma czasami dziwne wyobrażenia. Będąc młodziutką panienką, zdawało mi się że świat cały stworzony jest jedynie dla zabawy, uciechy, strojów, balów i innych podobnych radości tak ponętnych i pożądanych. O pracy najmniejszego nie miałam pojęcia, sądziłam że dla niéj wyłącznie lud roboczy jest przeznaczony, a dla mnie cała lekka literatura, muzyka, malarstwo, mody, lustra, marzenia i.. bezczynność.

Zacna moja matka, niby nie dostrzegając wad moich częste robiła uwagi, że ani zachwycająca uroda, ani przesadzona staranność w elegancji, ani uczoność, ani nawet majątek nie przynoszą prawdziwéj zalety kobiecie. Rozsądny mężczyzna poważniéj na świat patrzący, nie gardzi wprawdzie temi przymiotami, ale wymaga jeszcze gruntowniejszych, zgodnych z przeznaczeniem człowieka i wolą Opatrzności. Czem jesteś moja córko—mówiła mi droga matka—to wiesz dobrze, ale co cię czeka w przysłości tego nigdy nie odgadniesz. Znając zaś przeznaczenie kobiety, zawczasu powinnaś się przygotowywać do jego spełnienia. Daj Boże, żebyś w przyszłości nie potrzebowała ciężko pracować, ale pamiętaj, że tylko praca, darzy ludzi rzeczywistem szczęściem. Podziwiamy byt dobry, zamożność i pomyślność obcych, a nie zwracamy nigdy uwagi, że to tylko owoc pracy i rozumnéj staranności, rozwijanych wszędzie, zarówno w skromnéj wiejskiéj chacie jak i w pałacu zdobnym przepychem. Tam każdy od najmłodszych lat mając to na pamięci, przysposabia się odpowiednio, aby wyszedłszy z domowéj opieki, stał się zdolnym szermierzem w ogólnym zabiegu staranności ludzkiéj. Kobieta pod tym względem nie ustępuje mężczyznie, a wiedząc że ma być towarzyszką jego życia i szafarką korzyści otrzymywanych z jego pracy, obok właściwego wykształcenia, stara się być rządną gospodynią, zdatną kucharką, zręczną szwaczką, biegłą buhalterką, aby wszystko pod jéj zarządem nie tylko robiło się dobrze, ale z największą oszczędnością i wyrachowaniem, aby każdy grosz był wydany nie tylko właściwie, ale i umiejętnie. Czyż ty chcesz inną iść drogą? Czyż społeczność nasza nie tymże samym podlega prawom co każda inna, złożona z ludzi myślących i pracujących?

Podobne uwagi drogiéj méj matki i skłaniania do zajęć odpowiednich, słuchałam na pozór z pokorą i niby je wykonywałam, ale w istocie nudziłam się niemi składając wszystko na marudztwo starszych, zapominających że kiedyś byli młodemi. W tém wahaniu się i niepewności, małe zdarzenie, wyraźnie wolą Opatrzności pokierowane, stało się dla mnie zbawczem, odsłaniając prawdę w całéj swéj jasności.

Kończyłam właśnie lat ośmnaście. Jako posażna i dosyć powabna, nadskakującéj młodzieży nigdy mi nie brakowało. Odbierane hołdy i grzeczności cieszyły mnie niewymownie, zdawało mi się że w tym roju uwijającym się koło mnie na każdem zebraniu towarzyskiem, czy w domu moich rodziców czy u naszych sąsiadów, dość mi skinąć aby pozyskać serce według mego wyboru. Byłam ciągle jakby w jakiéj atmosferze czarodziejskiéj, przedstawiającéj wszystko w ułudnych obrazach piękności i zachwytu. Marzyłam cudnie, jak się wyraża poeta, ale srodze mnie zbudzono.

Pomiędzy młodzieżą najwięcéj mi nadskakującą, był Jan świeżo osiedlony na dziedzicznéj wiosce i przyjaciel jego Alfred urzędnik chwilowo przybyły z Warszawy.

Zabawy karnawałowe dosyć jakoś w tym roku przytrafiające się, nastręczały mi często sposobność znajdowania się w towarzystwie tych młodych ludzi, mieszkających razem i razem z sobą, wszędzie jeżdżących. Obadwa byli bardzo przystojni, wykształceni i mili niezmiernie w towarzystwie, a że Jan szczególnie był dla mnie grzeczny, wiele ze mną rozmawiał i tańczył więcéj jak z drugiemi pannami, cóż dziwnego że i ja większą na niego zwróciłam uwagę.

Wieść skrzętnie zbierająca wszystkie najdrobniejsze spostrzeżenia, wprędce uznała pana Jana zdeklarowanym moim konkurentem, a nawet i ja zaczęłam w to wierzyć chociaż, pod tym względem żadnego mi nie zrobił zwierzenia. Czy bym przyjęła jego oświadczenie, tego nie byłam pewną, wiedziałam tylko że lubiłam go, i że towarzystwo jego było mi miłem, a nadskoki niezmiernie zadawalniały moją miłość własną. W ostatni wtorek bawiliśmy się wybornie, mnie uznano królową balu, Jan z Alfredem nieodstępowali mnie prawie na chwilę, ale Jan więcéj był mną zajęty i czasami spoglądał z takiem czuciem, że to nawet powszechną zwróciło uwagę. Zmęczona, rozmarzona, usiadłam przy drzwiach prowadzących do drugiego pokoju, umyślnie jakby w ukryciu, żeby módz odpocząć i spokojnie podumać. W tém w pokoiku usłyszałam głosy rozmawiających mężczyzn. Wymówione moje imie, Helenka, zwróciło całą moją baczność.

A więc żenisz się z Helenką — mówił Alfred — prześliczna z was będzie para.

— Ja z Helenką?—zapytał Jan ze żdziwieniem — mój drogi Helenka nie dla mnie. Wprawdzie podoba mi się bo ładna, miła a nawet posażna, ale co innego podobanie, a co innego kochanie. Gdyby to małżeństwo było mazurem lub kontredansem, niebyłoby lepszej nad nią towarzyszki, ale że ma stanowić osłodę trudu życia, zespolenie dwóch serc i dwóch rozumów w celu spełnienia obowiązków społecznych, do których rządność, oszczędność i pracowitość należą, w wyborze więc małżonki należy być bardzo oględnym. Ona zaś mówiąc między nami, oprócz urody i główki uposażonéj wcale niezgorzéj w różne wiadomości, bardzo przydatne do popisu salonowego, jest istotą lekką, cokolwiek próżną, zajętą głównie strojem i lustrem, wymagająca, hołdów, usługi, nadskoków i tego próżniaczego życia, zakopanego w drobnostkach i niepojmującego nawet, że można myśleć o czemś innem z modą nie mającem żadnego stosunku. Powtarzam więc że Helenka nie dla mnie. Sto tysięcy posagu jakie posiada, czyż to tak wielka fortuna? Gdyby dały dochodu sześć tysięcy to mało. Służba bowiem jakiejby wymagała Helenka, więcejby kosztowała: a brak rządności i pracowitości czyżby nie przyniosły straty drugich sześciu tysięcy?— Trzecie sześć wymagałoby utrzymanie życia na téj stopie do jakiéj dzieweczka jest przyzwyczajona, czwarte sześć straciłaby na własną osobę, cóż więc znaczy posag stu tysięczny?

— Przesadzasz mój drogi — odezwał się Alfred — jak jest wykształcenie, dobre wychowanie, to wszelkiéj zmiany na dobre można się spodziewać.

— Więc się staraj i żeń z Helenką — przerwał Jan — będę ci swatem, dom mój jak wiesz na twoje rozkazy.

— Ja?—A bójże się Boga — zawołał Alfred — z taką panią czyż podobna. U nas w Warszawie trzeba żony bardzo rachunkowéj, rządnéj, pracowitéj i oszczędnéj, żeby żyjąc tylko z koszyczka i grosiczka, wyżyć przyzwoicie i nie popaść w długi.—Ona wcale nie dla urzędnika...

— I nie dla wiejskiego gospodarza — przerwał Jan— co umie dodawać i wie że mając pięć, cztery powinien wydać a nie osiem.

— A zatem?—zapytał Alfred.

— A zatem odpocząwszy odrzekł Jan—jakby z szyderstwem pójdę upomnieć się o kontradansa, którego uprosiłem u Helenki. Wybornie tańczy, a jaka zręczność, jaka figurka, jakie spojrzenie czarujące! — Mając lat 22 a nie 29, można zostać oczarowanym. Wprawdzie miłość wchodzi do duszy przez oczy, ale gruntuje się w niéj tylko przez przymioty serca i rozumu.

Co się dalej stało, dziś już nie pamiętam, ale wiem że od téj chwili zdało mi się żem nagle przewidziała i dopiero osądziłam całą wartość rozumnych słów matki, któremi wprzódy tak lekceważyłam. Następstwem tego była zupełna moja odmiana; z panienki płochéj, lekkiéj, motylkowatéj, królującéj wszechwładnie w dziedzinie fatałaszków, stałam się nagle rozważną i pracowitą gosposią nie wahającą się zajrzeć nie tylko do spiżarni, ale nawet do kuchni i chlewików.

Igiełka zaś w jakiéj była robocie, tego wam nie będę opowiadać, bo słowa matki kochanéj, ciągle mi stojąc w myśli zdawały się gwałtem naglić do pracy i jéj nauki.

I dobrze się stało, dziś błogosławię chwili co mi przyniosła tyle boleści i upokorzenia. We dwa lata potem wyszłam za mąż i jak na złość za urzędnika. Rodzina nasza ciągle się zwiększała, a Warszawa droga, jednak na wszystko jakoś wystarczało, prawda że z kredką i kurczeniem się, ale nigdy nie brakło. Dziś mieszkamy na wsi, i zawsze jakoś rok z rokiem schodzi się, a chociaż nie przypisuję sobie w tem żadnéj zasługi, jednak mój mąż kochany powiada, że spokój i szczęśliwość jakiéj doświadczamy przy nader małych funduszach, jest mojem wyłącznie dziełem, bo wedle przysłów:

Dobra żona,
Mężowskiéj głowy korona.

zła zaś czyli nierządna, fartuszkiem wyrzuci z domu to, co mąż wozami do niego nawiezie.

O UBIORACH.

Korrespondencja z Paryża.

Moda w tych czasach dziwne czyni przeskoki. Zaledwie że ogromne krynoliny ustąpiły miejsca płaskiem, rozszerzonem tylko u dołu, a już pojawiają się nowe, odsadzające suknią w tyle od jednego boku do drugiego, przód sukni pozostaje zupełnie płaski. Żurnale paryzkie utrzymują że krynoliny te doprowadzą wkrótce do rogówek. Co do nas szczerze ubolewamy nad tą zmiennością mody, nie idzie tu bowiem tylko o zamienienie jednéj krynoliny na drugą, ale za krynoliną idzie naturalnie suknia, paletot słowem całe ubranie. Z szerokich sukien jakie przed parą laty noszono łatwo było porobić wązkie, inna rzecz przerobić wązką w taki sposób, żeby pokryła rozwiesistą rógówkę.

Nim przyjdzie do tak radykalnéj zmiany, opiszemy tymczasem co nam się zdarzyło widzieć w pierwszych magazynach paryzkich. Zaczynamy od ślubnych sukien.

W ogólności paryżanki w ubraniu ślubnem zachowują wielką prostotę. Suknia ich bywa, ciężka, powłóczysta, ale bez żadnych prawie ozdób. Podobała nam się bardzo suknia *poult de soie*, płaska na przodzie, od boków przymarszczona i odsadzona. Dół spódnicy objęty był grubym rulonem atłasowym. Stanik gładki spinał się na atłasowe guziki. Rękawy wązkie, miały rulon na zszyciu, równie jak u ręki i u ramienia. Szarfa spadająca z boku, z ukośnego *poult de soie*, zakończona była także rulonem atłasowym. Welon i wianek z gałązką spadającą na ramię, dopełniał prostego a pięknego ubrania.

Inna suknia nierównie skromniejsza była kaszmirowa biała objęta u dołu sznurem jedwabnym. Stanik gładki spięty na szmuklerskie guziki otwarty był w górze do połowy i wygarnirowany ruszą białą jedwabną, wystrzyganą w ząbki. Rękawy na ramionach i u ręki przybrane były podobną ruszą. Szeroka szarfa z białéj wstążki, przewiązana w tyle na wielką spadającą kokardę pięknie odpowiadała całości. Na zarzutkę służyła kardynałka biała kaszmirowa, lekko podwatowana ogarnirowana ruszą jedwabną. Ponieważ to ubranie nosiła młoda wdowa, miejsce welonu zastąpił maleńki kapelusik *poult de soie* podpięty djademem z białego bzu z zielonemi listkami, na wierzch zarzucona była maleńka chusteczka, także *poult de soie* od któréj długie szarfy spinały się pod brodą. Cała chusteczka ogarnirowana była wązką ruszką wystrzyganą w maszynie.

Pelerynki rozmaitych rozmiarów, coraz się więcéj upowszechniają. Widzimy je tak na sukniach jak i na paletocikach, forma ich kwadratowa, sięgają zwykle cokolwiek niżéj stanu. Uważaliśmy ładny kostium z lekkiego sukienka w kolorze ciemno morderowym czyli skabiozowym. Spódniczka jedna tylko sięgała do ziemi, na ćwierć łokcia wyżéj naszyta była frendzla jedwabna kręcona tegoż koloru, oznaczająca niby drugą spódniczkę. Frendzla ta podniesiona była w ząb z obydwóch boków — od tego podniesienia aż do góry szły rzędem guziki szmuklerskie. Paletocik krótki, wcięty u góry po bokach, przedłużony z przodu więcéj niż na pół łokcia, obszyty był takąż samą frendzlą. Na wierzch spadała czworograniasta pelerynka, przybrana frendzlą odpowiednio. Rękawy wązkie miały mankiet przytwierdzony od dołu guzikami, z frendzlą spadającą poniżéj ręki. Paletocik wolny zastosowany był jednak do figury.

Z balowych sukien zwróciła uwagę naszą bardzo ładna illuzjowa koloru słomy, na takiejże saméj atłasowéj. Illuzja złożona we dwoje nie miała przez to samo żadnego obrąbka ani zakończenia. Suknia ta illuzjowa podpięta była w około w wielkie festony, przytwierdzone bukietami z ciemnych połyskujących liści w rozmaitych odcieniach; niektóre z tych liści wpadały w ciemno pąsowy kolor, jak liście wina dzikiego w jesieni. Stanik atłasowy z bertą z illuzjowych bufek, przybrany był z przodu i na ramionach takiemiż bukietami. Rozeta bez szarf zakończała stanik w tyle. Wieniec z odpowiednich liści otaczał włosy—z lewego boku spadała gałązka okręcona długim lokem.

Młode osoby tak na zabawy mniejsze jak na bale, noszą suknie sięgające tylko ziemi. Suknia tarlatanowa gładka lub w rzucik stanowi zwykle ubranie balowe mło-

déj panienki. Na małe tańcujące wieczory, noszą kolorowe spódniczki, z lekkiéj materji albo fularu, i biały muślinowy stanik, pod szyję lub na pół wycięty, przybrany wstążkami w odpowiednim do spódniczki kolorze. Do mniejszego ubrania wstążeczka obwiązana w koło włosów, z długiemi końcami spadającemi na bok, stanowi najwłaściwsze dopełnienie. Stanik powinien być opasany szarfą spuszczoną długo na tył sukni, z szerokiéj wstążki stosownego koloru.

Na wizyty przyjęte powszechnie kostiumy czarne jedwabne, złożone z jednéj spódniczki, zakończonéj u dołu fałdowanym wolantem na ćwierć łokcia. Do tego idzie paletocik wpadający lekko do figury, podcięty po bokach, z przodu przedłużony jak mantylka, obszyty w koło kręconą frendzlą. Niekiedy paletocik ten przepasany bywa szarfą spadającą w tyle, z takąż frendzlą u dołu.

S. z Ż. D.

Chleb razowy i biały.

Powszechnie utrzymuje się mniemanie, że chleb im bielszy tym jest lepszy, tymczasem nowe naukowe badania wykryły, że tylko chleb wypiekany z mąki pomięszanéj z otrębami jest prawdziwie pożywnym. Lat temu już czterysta jak Thryon zalecał, żeby przez wzgląd na zdrowie mąka najbielsza nie była oddzielaną od czarnéj i grubéj, obecnie sławny chemik Liebieg dowodzi, że odłączanie otrąb od mąki jest rzeczą nie tylko nie przynoszącą pożytku, ale przeciwnie szkodliwą.

Przeciąwszy ziarnko zboża i przypatrzywszy się płaszczyźnie przecięcia przez szkło powiększające, postrzeżemy pod twardą zewnętrzną łuską warstwę drobnych komórek, zawierające w sobie lepę pierwiastek jeden z najpożywniejszych. Komórki zaś posuwające się ku środkowi ziarna, napełnione są krochmalem główną częścią składową mąki, znajdującym się w formie kuleczek złożonych z warstw dośrodkowych, tak że kuleczki prawie muszlowato wyglądają i zawierają białą delikatną mąkę. Powszechnie mąka ta jest uważana za najlepszą, a za gorszą znajdująca się bliżéj łupinki, tymczasem zupełnie jest inaczéj. *Lepa* nie krochmal stanowią główną pożywność chleba, gdyż ona w roślinach zastępuje miejsce białka i włókna znajdującego się w mięsie, a nawet skład jéj podobny jest do składu ciał wspomnionych, które bardzo ważny wpływ wywierają na utrzymanie naszego życia. Im więc chleb więcéj zawiera w sobie lepy tym jest zdrowszy, pożywniejszy i łatwiejszy do trawienia. Według robionych postrzeżeń, wszędzie ludność żywiąca się razowym chlebem jest zdrowszą i silniejszą. Za jeden z dowodów przemawiających za nim, służyć może lud nasz wiejski, któremu ani siły ani zdrowia odmówić nie można, choć dotąd przynajmniéj głównie żywił się pokarmem roślinnym, a mianowicie chlebem razowym.

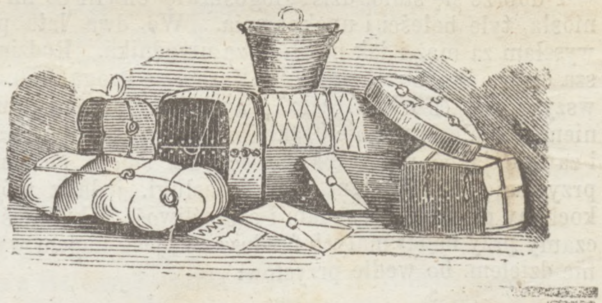
— Przyjaciela Dzieci wyszedł z druku N. 7 i zawiera: Godfried de Bouillon przez J. B. z ryciną.— Brama tryumfalna de l'Etoile w Paryżu z ryciną.—Pierwsze na świat wystąpienie, powiastka przez Annę S.— Polowanie na Nosorożca z ryciną. — Wielbłąd w pustyni.—Kościołek biały (Wiersz). Bajka dla grzecznych dzieci przez Mirona z czterema drzeworytami.

Symbolika kwiatów i roślin ozdobnych.

Wedle pojęcia Tybetańczyków, najwyższy ich bóg Pocio czyli Cenresi, powstał z kwiatu lotusowego, jako przecudnéj piękności dziecię; tron jego jest na tymże kwiecie, i wręku trzyma lotus. Narayana czyli Brahma Nepalczyków, unosi się znów na liściu lotusowym, a Buddha, bóg Lamajski, bywa przedstawiany jako spoczywający na takimże liściu.

U starożytnych Egipcjan, wieniec z kwiatów lotusowych lub też tylko liść, okrywał głowę ich bóstw: Izydy i Ozyrysa. Egipcjanom kwiat lotusowy zwiastuje Nowy rok, budzenie się przyrody, jest przeto symbolem odradzania się, powstawania na nowo ze śmierci do życia, a tém samem wędrówki dusz, zkąd często napotykać można na trumnach mumii, rzeźbione kwiaty lotusu, w kształcie ozdoby na szyi. To samo znaczenie mają rozkwitłe lotusy w ręku kobiecych postaci, rzeźbione w pieczarach Salsetty, niedaleko Bombay w Indjach. Symbolizują one tam przechodzenie dusz z tego życia w inne, to jest odradzanie się duchowe. Niedawno znaleziono starożytną kamenę czyli wypukło rznięty krwawnik (karniol), na którym jest popiersie Alexandra I Ptolomeusza, wraz z swą matką Kleopatrą, ozdobionych na głowie kwiatami lotusu; takowe więc oznaczają i władztwo, panowanie familii (Ptolomeuszów.

(d. c. n.)



Panu R. w Blichowie. Numer 5 Tygodnika oraz dodatek do N. 4 przesyłamy. Wprawdzie kopertowanie i adresowanie wychodzących numerów dopełniane jest w Redakcji, ale rozwożenie ich po stacjach pocztowych od Redakcji zupełnie nie zależy. Że numer każdy idzie według kontroli i że oddawany jest na pocztę, na to posiadamy pokwitowanie.

W każdym razie uwzględniając słuszne zażalenie p. R. gotowi jesteśmy i drugiemu żądaniu zadosyć uczynić, idzie tylko o podanie środka do jego spełnienia.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego Nru. dołączony dodatek arkuszowy z drzeworytami, oraz Spis przedmiotów zawartych w Tygodniku Mód, za rok 1867.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

(*Dodatek*).